

Twarogowy domek na prerii albo horrory a nieszczęścia drwala Obanona

Życie rodzinne łatwe nie jest. Zwłaszcza z licznymi pacholętami, które trzeba bronić przed niebezpieczeństwami prerii... i przed samymi sobą. Takim rodzicielskiimi sobą.

Dzisiejszą publikację dedykuję mojej Mistrzynie i Muzie, **Ja to Ja**. Jest moim pisarskim i HUMORYSTYCZNYM odkryciem eioby. Jej wyobraźnia, polot i umysłowa nonszalancja sprawiają, że sombrero uchylam i wciąż głodnie a chłonnie czekam na jej utwory. Cóż mógłbym jej dedykować, jeśli nie mieszankę absurdu i makabry? I tu **muszę ostrzec**: dawka czarnego humoru jest na miarę napalmu zrzuconego z B-52. Anihiluje wszelkie szlabany, magistraty i katedry cywilizacji.

Jak zwykle - bezkarnie. Albowiem modłę się do takiego boga, który chromoli pokłony, modły i ofiary z owiec. I pogróżki ze swej wysokości.

Co więcej, bawi go, że w poniedziałek mówię doń: Quetzalcoatlu kochany, w środę wykpiwam, że sztywny jak ten Światowid, w piątek zarzucam, że milczy jak sam Crom, a w niedzielę strzelam do niego z dmuchawki amazońskiej. I co?

I żyję. Żaden piorun mnie nie skarbonizował.

To dopiero jest BÓG, co?

Zawsze po mojej stronie.

Zapraszam do tej karygodnej lektury.

A Mistrzynie ściskam.



Twarogowy domek na prerii albo horrory a nieszczęścia drwala Obanona

Musicie wiedzieć, że nim opowiem wam tę historię, przypalę fajkę. To czyni klimat...

No dobrze, fajka dymi, a ja opowiadam wam historię o tyle straszną, że prawdziwą. Jest to historia białego drwala Obanona i jego nieszczęsnych krewnych w linii prostej... i wszelkich innych zresztą linii. U nich mało co prostego było, taka to rodzina skrzywiona była.

Ale - po kolei. Dawno temu, w zeszłym roku, w domku ulepionym z półtłustego twarogu i ustawionym na prerii, mieszkała duża szczęśliwa rodzina Kromagnonów: wielki biały drwal Obanon i jego żona Rozkwitania. Raptem dwoje tylko rodziców. Za to dzieci było całe mnóstwo: jednoletni Brukieter, dwuletnia Wyschia, trzyletni Masztk, czteroletnia Szepcza, pięcioletni Wysypis, sześćioletnia Alemania, siedmioletni Czukcz, ośmioletnia Półnogia, dziewięcioletni Ewidentyn, dziesięcioletnia Wykuca, jedenastoletni Napchaw, dwunastoletni Czepiec, trzynastoletnia Marchwia oraz 46-letni Wysupł, który w przeciwieństwie do rodzeństwa nie był adoptowany.

Tylko znaleziony w rzece, w dryfującej łubiance. Zresztą w tej łubiance były jeszcze cztery siostry owego Wysupła, ale rodzice-znalazcy uznali trzeźwo, że nie dadzą rady wychować wszystkich, więc zręcznie, z rutynową wprawą, potopili je.

- Z rutynową...? - wydusi ktoś z was.

A tak. Co ma swoje historyczne uzasadnienie. Otóż kiedyś w całym królestwie ogłoszono, że za dwa dni nastąpi atak Wizyfoków, wojowniczych sąsiadów, znanych z tego, że nie przepuszczają dam w drzwiach, a rannych dobijają

wbijaniem krzemienia w „trzecie oko”.

Wobec takiej prognozy w całym kraju zapanowała mała mobilizacja i znacznie większy chaos. Niestety, chaos rodzi trwogę. Objęła ona prerie szeroko niczym pożar. Spanikowani Obanon i Rozkwitania potopili w oczku wodnym wszystkie posiadane wówczas dzieci: 26 sztuk, jeśli wliczyć Popiskina, który urodził się bez stóp, dłoni i oczu, i był słaby psychicznie i trochę maruda. Popiskin zaskoczył jednak rodziców charakterem, gdy sam wszedł do oczka, objawiając przy tym specyficzną węzową technikę. Może i był marudą, a talerze leciały mu z rąk (Obanon wykonał mu protezy z mioteł wiklinowych), ale rozumiał wagę sytuacji. Jedynym jego życzeniem za „brak oporu” było wrzucenie mu ulubionego pajaca.

Wzruszeni rodzice przeprosili go, że tyle lat zmuszali go do zabawy w berka, chowanego i nauk rachunków na liczydło. Byli jednak przywiązani do tego pajaca – nazywali go Duszkciem – i ledwo Popiskin przestał podrygiwać, Obanon wyłowił pajaca i reanimował.

Pech polegał na tym, że rodzice potopili dziecięta zupełnie pochopnie... Bo po pierwsze: był Prima Aprilis, komunikat rządowy był żartem, który wymusił sam król.

Po drugie: Wizyfokowie nie mogliby w owym czasie najechać swoich sąsiadów, choćby i chcieli. Mieli akurat własne kłopoty – powstanie pacjentów psychiatrycznych, które rozlało się na cały kraj, przynosząc całkowite wymordowanie medyków, kierowców ambulansów i tej części arystokracji, która na czas nie przebrała się za kłoszardów. Co gorsza u schyłku powstania doszło jeszcze trzęsienie ziemi, tak mocne, że zapadło się w czeluści całe akurat terytorium Wizyfoków, a w powstałym kraterze wylało jezioro, którego fale idealnie podmywały fale graniczne siedmiu sąsiadujących krajów.

- No to chyba Wizyfokowie przestali istnieć? – zmarszczycie brwi.

Naturalnie. W takich okolicznościach żaden z nich nie mógł przetrwać; jezioro nie uwolniło ani jednej wyspy, a nawet najlepsi pływacy spośród Wizyfoków musieli w końcu się poddać, gdy za każdym podpłynięciem do brzegów sąsiadów byli z zemsty bici pniami cisowymi po głowie.

Ojczyzna Obanona i Rozkwitania, znana jako królestwo Aubau, świętowała hucznie, bynajmniej nie siląc się na dobrosąsiedzkie wysłanie ratowników i pomp likwidujących skutki powodzi. Tak, świętował cały kraj, tylko nie drwał Obanon i jego żona...

Oraz 40% rodziców aubauckich, którzy także zanihilowali swoje dzieci na różne sposoby.

Wyczuwam to wzdrygnięcie u kilku z was... Pomyślcie, czy nie czas zasypać oczko wodne.

Wróćmy do domku z twarogu. 26 dzieciątek upchniętych w oczku wodnym, w którym tydzień wcześniej udusiły się z tłoku cztery morszczuki. Możecie to sobie wyobrazić. Rozkwitania była tak zdruzgotana, że chciała odebrać sobie życie. By to uniemożliwić, Obanon, który bardzo ją kochał, połamał jej ręce, nogi i kręgosłup, po czym całą noc pokazywał jej ślubne drzeworyty – aby uzmysłowić jej wspólny uczuciowy dorobek.

Pomogło. Rozkwitania nie odstąpiła go na krok i po szesnastu latach wyszła z kryzysu. Co Obanon uczcił zdjęciem z niej temblaków, dybów, łańcuchów i ław wykradzionych z twierdzy mameluków.

A potem – wiecie: krok po kroku, rok po roku, zmitrężeni rodzice odbudowali swoją rodzinę. I byli tam: jednoletnia Półnogia, dwuletni Wasztk, trzyletnia Wykuca, czteroletni Ewidentyn, pięcioletni Brukieter, sześćioletnia Czucza, siedmioletnia Wyschia, ośmioletnia Szepcza, dziewięcioletni Wysypis, dziesięcioletnia Alemania, jedenastoletni Napchaw, dwunastoletni Czepiec, trzynastoletnia Marchwia, 46-letniletni Wysupł i bliźniak Sieciech.

- Chyba naniósłś jakieś korekty, bajarzu – okaże przytomność ktoś z was. – Półnogia miała wcześniej osiem lat, a nie rok. Wasztk nazywał się Masztk i był o rok od siebie starszy. Wykuca miała dziesięć lat, Ewidentyn dziewięć, nie cztery, Brukieter ledwie rok skończył, Czucza była chłopcem, a nie oną, Wyschia miała dwa lata, Szepcza cztery, nie osiem, Wysypis pięć, a nie dziewięć. Alemania z kolei cztery lata mniej, reszta się zgadza poza bliźniakiem Sieciechem, który wypadł chyba z cylindra wiejskiego kuglarza.

No brawo! Oczywiście, że tak. Nic tak nie cieszy narratora, jak uwaga skupiona na jego historii. Musiałem to sprawdzić. Rzeczywiście Sieciech nie zaistniał na tym świecie, kuglarzy wywieszono na słupach sieci trakcyjnej sto lat wcześniej, za spisek przeciw szamanom wojskowym.

Choć pewnie znajdą się kronikarze, którzy z koźlącym uporem będą przepychać swą niedorzeczną, zakłamaną wersję: że Rozkwitania poroniła Sieciecha, gdy uderzył w nią rozpędzony rydwan dostawczy z ładunkiem ostrokołu.

- No i Brukieter nie miał loków, tylko kosmyk kozacki na łysym puklerzu – dorzuci ktoś zuchwale.

Co zignoruję, kontynuując tę dramatyczną, choć krzepiącą opowieść. Zatem! byli tam: jednoletni Brukieter, dwuletnia Wyschia, trzyletni Masztk, czteroletnia Szepcza, pięcioletni Wysypis, sześćioletnia Alemania, siedmioletni Czucz, ośmioletnia Półnogia, dziewięcioletni Ewidentyn, dziesięcioletnia Wykuca, jedenastoletni Napchaw, dwunastoletni Czepiec, trzynastoletnia Marchwia i najbardziej rozbrykany Wysupł, lat 46.

No i pajac Duszek.

Wielki biały drwał pracował jako drwał, zaś Rozkwitania pilnowała dzieci, bo trauma robi swoje.

Aha, była jeszcze ciocia, stara i często mylona z miotłą Pasadena - ale gdy raz wyniesiono ją omyłkowo do piwnicy, uległa zapomnieniu i zmarła z wielu przyczyn, jak choćby głód, chłód, brak nóg, klaustrofobia, , hubofobia, lęk wysokości...

- Jak to wysokości – obruszy się ktoś.

Ano tak. Wiecie już, że domek na prerii zbudowano na prerii. Trudno o piwnicę z twarogu, zjadłyby ją gryzonie. Zresztą, gdy raz zdesperowany Obanon próbował kopać, złamał szpadel na żebrach.

- Chyba nie własnych?

Nie tym razem. Okazało się, że dom zbudowano na cmentarzu, który potajemnie przysypano prerią, bo władze preferowały politykę osadniczą. Pod rodziną Kromagnonów leżało 1500 szkieletów Szoszonów, wymordowanych przez Boszonów, których z kolei wycięli w odwecie Orkoni.

Samych Orkonów zresztą zabiła epidemia nosówki, którą sprowadził meteoryt.

- A propos tej piwnicy – chrząknie ktoś z was w zaintrygowaniu.

Tak, tak. W ponurych okolicznościach cmentarzyska Obanon zbudował piwnicę na drzewie, wysokim jak baszta krzyżacka. Fakt, że z racji zbudowania domu na prerii o drzewa nie było łatwo; najbliższe zdeterminowany drwal odnalazł 30 mil na północny wschód od południowo-zachodniego narożnika domu.

30 mil.

Nie dziwicie się już chyba, że zapomniano o ciotce Pasadenie.

- Chyba nie – wymruczycie chórem.

Lubię chór u słuchaczy. To zawsze ujmuje bajora.

Dlatego będę kontynuował opowieść...

Co do ciotki Pasadeny, to istnieje teoria – roznieśli ją Indianie z plemienia Quopotów – że zabiły ją szczury saskaczewańskie, które przyszły do niej godzinę po tym, jak roztargnieni krewni zamknęli ją w piwnicy. Zresztą została pomszczona, co świadczy o uczciwości natury – jeszcze tego samego dnia szczury spotkał żalosny, no, taki szczury całkiem los: wymordowały je kondory. Jak się okazało, mieszkały na południowo-północnym konarze piwnicy, czego budowniczy Obanon nie odkrył.

Trudno jednak mieć do niego pretensje o gapiostwo. Był od dziecka niewidomy, po tym, jak w ataku szału bona wbiła mu w gałki oczne ślubny komplet sztuców. Owszem, Obanon był silnym drwalem, zbudował dom z twarogu i piwnicę na drzewie, ale tylko dlatego, że przez całe nieomal życie prowadził go zaufany pies bernardyn.

Co prawda nie ufałbym psu, który nienawidzi swego właściciela... Pewnej nocy, burzowej i deszczowej, Obanon pomylił się w ciemnościach i zmłócił cepem bernardyna, którego wziął za łan zbożowy. Od tej pory pies nienawidził go i stale usiłował wprowadzić w jakąś pułapkę.

W każdym razie, gdy w rodzinie pojawił się urwipoleć Wysupł, rodzice nabrali nadziei, że czas ciosów minął i odtąd rodzinie Kromagnonów czeka tylko sielankowe pasmo sukcesów i gloria. Ta nadzieja nie przetrwała dwóch dni, bo tuż przed ich upływem bernardyn utonął w bagnie. Próbował wciągnąć w nie Obanona, lecz ten szczęśliwym przypadkiem odbił w lewo, by wpaść jedynie do małego parowu, gdzie złamał obojczyki i stracił węch oraz dotyk na skutek przebicia czaszki żerdzią.

Natomiast pies utonął. Zgubiło go futro, które wchłonęło dwadzieścia pięć kilogramów wody, błota i brunatnic.

Gorzej, że w ramach ubezpieczenia przed rabusiami całe wieloletnie oszczędności w złocie i brylantach Kromagnonów przechowywane było na szyi psa w woreczku foliowym.

Teraz przepadły.

Osowiły Obanon już wstępnie obliczał osuszanie bagien na 1600 lat. Zwłaszcza, że do dyspozycji miał tylko żelazko rozgrzewane światłem Księżycy.

Rozkwitania znów przeżyła poważne załamanie. Następnej nocy drwal Obanon Kromagnon obudził się złany ropą naftową. Żona stała nad nim z kanistrem i krzyczała, że ona ma już dość, że biegnie na bagna szukać zatopionego majątku, ale przedtem powie dzieciom całą prawdę o Szoszonach, Boszonach i Orkonach oraz o 26-osobowym rodzeństwie, zatopionym w oczku.

Obanon nie chciał stracić żony ani reputacji w oczach dzieci. Niezwłocznie więc, mimo braku bernardyna-nawigatora, przebił żony miednicę włócznią w taki sposób, że została przytwierdzona do podłogi i nie było mowy o ucieczce. Potem biały drwal pobiegł na poddasze ocieplone cheddarem, gdzie trzymał apteczkę na wypadek inwazji Wizyfoków. Rozkwitania bowiem krwawiła niczym humbak skatowany siekierami na nabrzeżu.

Niestety, odkąd utracił bernardyna, Obanon miał dziwny zwyczaj biegać po domu z obronnie nastawionym mieczem. Był całkiem nieufny od chwili, gdy dzieci narzuciły mu worek na głowę i natłukły pałkami z kwarcytu, co zresztą było tylko żartem na urodziny.

Biegał jednak chwiejnie i z mieczem na sztorc. Nim dobiegł na poddasze – a wynajmował je w sąsiedniej wiosce – nakłutł na ostrze Brukietera, Alemanię i Czuczca. Nie zorientował się, co zaszło – owszem, myślał, że wpadł po drodze na wieszaki na płaszcze kąpielowe i stąd ten rumor.

Tuż przed wioską nabił jeszcze kuzyna Kalkuta, który od czterech miesięcy wędrował do niego z wizytą rodzinną. Kalkut długo i chyba nieco demonstracyjnie rzeźił, aż Obanona coś tknęło. Przystanął, nachylił się uważnie, z namaszczeniem obmacał ciało Kalkuta. Po narośli wielkości melona na nosie natychmiast rozpoznał ukochanego kuzyna, z którym w dzieciństwie podpalał koszary korpusów pogranicza oraz schroniska dla sierot i wdów wojennych. Wystraszył się, że gwardia króla rozpocznie za nim pościg – Kalkut był bardzo zasłużony: zaprojektował

mundury niewidoczne na tle haubic i medal Defensywnego Nurka Piechoty Górskiej.

Na nieszczęście żona kuzyna, Auna, odezwała się:

„Taka tragedia, taka tragedia”.

Także ich dzieci, osiemnastka, zakwiliły z żalem – miały bystre oczy wzmacniane przecierem z rzep i z odległości metra potrafiły wywnioskować, że ojciec pozbawiony jelit już nigdy nie wstanie i nie będzie z nimi kopał czaszki sąsiada, co „przychodził do mamy i szarpał ją za włosy, nie widząc jej twarzy”.

Obanon, pewny, że słyszy hejnał kawaleryjski – co oznaczało manewr okrążający gwardii – wykiwał wszystkich mieczem, włącznie z filozoficznie zamyśloną Auną, po czym pobiegł do domu.

W drzwiach przebił Półnogię, Napchawa i Masztkę, którego Napchaw niósł na barana. Było to jego obowiązkiem, odkąd Masztkę został sparaliżowany po ukąszeniu przez skorpiona czarnosolca paschalnego.

W rezultacie już szóstka dzieci podrygiwała na podłodze i...

- ...i to jest straszne! – nie wytrzyma ktoś z was, na pewno wrażliwiec i gołębiarz.

Nie, jeszcze nie. Z każdej namiastki pecha i przeciwności można jeszcze wyjść obronną ręką, a drwal miał sprawne obie. Słuchajcie dalej...

Szóstka dzieci podrygiwała, a ich matka, która jakimś nieogarnionym wysiłkiem uwolniła się z żerdzi, źle zniosła ten widok. Złorzeczając na męża-nieudacznika, dobiła tłuczkiem wszystkie pojękujące pacholęta, bo serce matki każe skrócić męża.

I szerzyć przykład dyscypliny tym, którzy żyją i w oszołomieniu rzecz obserwują.

Co prawda pospieszyła się z tym tłuczkiem, bo tylko Napchaw odniósł ranę śmiertelną. Powinna się była zresztą tego domyślić, po tym jak Półnogię zgłosiła się do mycia naczyń po obiedzie, Brukieter chichotał, bo znalazł pod krzakiem jeżyn dziesięć halerzy, Alemania ziewała wtulona w pajaca Duszka, Czuczka pytał, kto mu naprawi rozpruty rękaw, a sparaliżowany Masztkę nawet zerwał się i pobiegł do kuchni, żeby sprawdzić, czy Wyschia nie wyjada pierników.

A raczej: chciał pobiec. Bo cios tłuczkiem w potylicę rozłożył go jak płaszczkę. To matka uznała, że żywotna reakcja gimnastyczna jest wynikiem szoku organicznego, znamionującego agonię.

Dzieci zostały zatem e g z e k u t o w a n e, i to na oczach niewidomego Obanona.

Który doskonale czytał z jęków i łomotu upadających ciał.

Teraz to on do reszty się zdruzgotał, wszak dopiero co zabił kuzyna Kalkuta.

I gwardię królewską.

Biegał wywrotnie między salonem, a kuchnią, krzycząc, że on ma dość, że chce rozwodu i połowy nabiału, z którego zbudował dom, że idzie na brydża do wujka Wreda z Belgii, a poza tym ściga go gwardia, że wygrał potyczkę, ale jest pewne, że przybędą większe siły, które wychędożą Rozkwitanie, a jego ukrzyżują.

Rozkwitania też krzyczała: że jest nieudacznikiem, po którym ciągle coś musi poprawiać, a zwłaszcza dobijać dzieci, co jest niewygodne dla matki, żeby Obanon zabrał cały swój śmierdzący twaróg, bo ona wyprowadza się do swojej matki, hrabiny Poczęty i że ona doskonale wie, że blizna na plecach męża wcale nie jest pamiątką po bitwie z Wizyfokami, to jego bracia bili go w dzieciństwie grabiami, a poza tym Obanon wygląda na drzeworytach ślubnych jak goblin.

Na to wszystko do izby weszła Marchwia i zapytała, skąd się wzięły kości w oczku wodnym, co znaczy 26 nagrobków z gomółek owczych, ustawionych wokół oczka, bo to nie jest normalne i ona, Marchwia, domaga się wyjaśnień, a jak nie, to wzywa gwardię.

To uspokoiło nastroje. Drwal Obanon odniósł co prawda nieprzyjemne wrażenie, że szczęście rodziny, dotąd żyjącej w harmonii i nużącej wręcz sielance, zaczyna się rozwiewać. I może to tłumaczy nerwowy cios miecza w Marchwię, przy czym pierwszy raz okazał kunszt szermierczy. Jego córka runęła z przeciętymi tętnicami udowymi, co zlikwidowało problem oczka.

Rozkwitania, widząc, że jej mąż ma zły dzień, jak to niewidomy drwal zmęczony pracą w lesie, do którego nigdy nie trafił, prędko wyprowadziła na dwór pozostałe przy życiu dzieci: Szepczę, Wysypisa, Wysupła, Czepca, Ewidentyna i Wykuć.

Tylko dla Wyschii było już za późno: leżała w kuchni martwa i wyprężona jak jesiotr nabity na listwę.

Zadławiła się piernikiem.

Rozkwitania ocaliła jednak całkiem spory procent stanu, a błyskawiczna ewakuacja była imponującą decyzją, jakie mogą tylko podjąć prawdziwe matki wychowane przez prerie.

Istotnie Obanon ochłonął i po krótkiej chwili wyszedł przed dom, mrużąc oczy od słońca. Pech sprawił, że wzrok utracił, ale wrażliwość na światło się podwoiła.

Odręczenie drwala było uderzające i niosło pokrzepienie.

„Ile żyje?” – zapytał rzeczowo.

„Sześcioro” – odrzekła Rozkwitania, wybuchając nerwowym śmiechem kogoś, kto był przez dwa tygodnie ścigany przez kojoty, co rzeczywiście zdarzyło się jej w dzieciństwie.

- A więc historia dobrze się kończy? – zapytacie z niepokojem.

Całkiem możliwe, ale to jeszcze nie koniec.

„Sześcioro” – odetchnął jej mąż. – „To okazja do świętowania. Czembronowie z sąsiedniej farmy nie mieli tyle szczęścia, gdy Wizyfokowie wpadli do nich z wizytą. Jesteśmy w czepku urodzeni. Może pójde po konfitury do piwnicy.”

„Mnie nie liczcie!” – krzyknął nieoczekiwanie Wysupł, rozpędził się i tak wyrznął w ścianę domu, że skręcił kark. Wysupł miał kompleksy, słusznie uważał, że nie jest w tej rodzinie dzieckiem faworyzowanym, przy czym był starszy od rodziców, co groziło inspekcją inkwizytorów. Gdy się zabił, radość była powszechna. Inkwizytorzy krzyżowali „ojców, co poczwary płodzą”, a ponadto zawsze uwozili młode kobiety, podrzucając w zamian stare. „Biegnę po konfitury” – powtórzył drżącym głosem ojciec, ledwo jednak uczynił dwa kroki, nabił się na miecz i stracił nerwę.

Zniecierpliwiona Rozkwitania powtórzyła to o goblinie, po czym posłała do piwnicy Wysypisa.

„Pospiesz się!” – zawołała za biegnącym dumnie pędrakiem. – „My tu czekamy na dworze” – dodała ku zgrozie rodziny, bo zaczął padać mocny deszcz.

Gdy minął tydzień, a chłopiec się nie pokazał, Rozkwitania wysłała Ewidentyna, tym razem do wioski.

„Znajdź wuja Wreda, poproś o konfitury i wracaj. Może będziesz szybciej od Wysypisa.”

„Co robić? Co robić?” – bełkotał Obanon, który nie próżnował i upił się już winem.

Tymczasem nikt nie domyślał się, jak dzielny Wysypis próbował wypełnić swoją misję. Ledwo wspiął się do piwnicy, a odkrył objedzony, zmurszały zewłok ciotki Pasadeny. Tak się wystraszył, że spadł z piwnicy na ziemię i złamał otwarcie nogę.

Nie myślcie, że w tej sytuacji rzucił się do ucieczki. Przeciwnie, zacisnął zęby, wspiął się na drzewo – co zabrało dwa dni – po czym znalazł na półce konfitury. Na wszelki wypadek wziął też mizerię, bo zrozumiał już, że im więcej zabierze, tym rzadziej będzie wysyłany do piwnicy.

Nagle, gdy czytał etykietę na słoiku (która to etykieta ujawniała, że mizerię wyprodukowało Królestwo Wizyfoków), ściana liści rozsunała się, po czym dziób kondora ugryzł go z niepojętą dynamiką w twarz.

Twarcz została na drzewie, Wysypis nie. Spadł znów w dół, łamiąc kręgi szyjne.

Mimo to nie poddał się. Był synem drwala, dzieckiem prerii.

W zasadzie zgadzało się tylko to drugie, o pierwszym podyskutowałby kuzyn Kalkut.

W każdym razie Wysypis był twardy. Wciąż trzymał w dłoniach słoiki z mizerią i konfiturami. Pokrzepiony takim widokiem zaczął więc, ile sił w nodze, czołgać się w stronę domu. Po dziesięciu metrach pyton ukąsił go w stopę, którą rzeczywiście w irytujący sposób wierzgał.

Aczkolwiek co się dziwić – druga noga była do niczego po tym, jak piszczał wysunął się z niej i został gdzieś w trawie.

Wysypis wciąż jednak pełził w stronę domu, choć po prawdzie w zupełnie przeciwnym kierunku.

Niestety, kilka godzin później zmarł.

Widać nie był jeszcze w pełni ukształtowanym drwalem.

- A Ewidentyn? – przypomni ktoś drżącym głosem.

Wyczuwam wasze wzruszenie i nadzieję. Chwileczkę, niech się zaciągnę... Ja sam jestem poruszony tą historią. Wyjawiam ją dopiero trzydziesty pierwszy raz.

Tak, Ewidentyn, który pomknął do wioski, miał więcej szczęścia. Nic go nie pogryzło i nie zrzuciło z drzewa. Tylko patrol gwardii natknął się na niego, gdy zaintrygowany pochyłał się nad ciałami wuja Kalkuta, ciotki Auny i kuzynów.

Dowódca patrolu spieszył się na Wielkanoc i nie miał chęci na szczególnie zawiłe śledztwo.

„Jak masz na imię, biedaczku?” – zapytał troskliwie.

„Ewidentyn.”

„Czy to ty, Ewidentynie?”

„Tak, to ja” – odrzekł zdziwiony chłopiec, zastanawiając się, czy oficer jest głupkiem.

„Przyznał się” – zwrócił się dowódca do swoich żołnierzy suchym tonem.

Ewidentyn został powieszony.

Co ciekawe, gdy gwardia wracała z fortu, dowódcę tknęły wyrzuty sumienia. By je przepłoszyć, odbezpieczył granat o sile rażenia 69 kłów na 10 metrów kwadratowych, osiem pod wodą, trzy w żelatynie. Patrol padł rozsiekany, przeżył tylko oficer – bo zapomniał zdjąć zbroję – oraz dziesięcioletni, rudobrody dobosz Podskot, który akurat podskoczył w krzaki, bo mu tam błysnęło złoto.

Złoto faktycznie błysnęło, tyle, że było zębem herszta zbójców-toporników. Zbójcy nigdy dotąd nie odważyli się zaatakować gwardii, którą chroniły gwarancje króla i kardynała Rychła. Teraz, przy takim pomniejszeniu stanu, pokusa była jednak nieodparta. Herszt wychynął z zarośli, a zbójcy za nim. Tylko dobosz stawiał opór: zagrał na tarabanie pieśń „Sztokfisz z Lublina”...

- O – poderwą głowy ci z was, którzy Lublin mają w sercu.

...po czym zemdłał i nawet nie czuł, gdy odcięto mu głowę toporem.

Dowódca gwardii nie był już takim chwatem, jego duch uległ rozbiciu. Zaprowadził zbójców do fortu, gdzie poddał garnizon, następnie oddał wioskę, a po masakrze w dniu świętego Krakoczego, kiedy to zbójcy wkroczyli do wsi przebrani za kongresmenów i wybili wszystkich do nogi, poprosił, aby i jego rozsiekli jako oficera szumowinę. Prośbie nie odmówiono, zwłaszcza, że dowódca działał już hersztowi na nerwy, ciągle opowiadając jakąś historię o „Ewangelinie, co nie miał szczęścia do sędziów”. Chodziło, rzecz naturalna, o Ewidentyń.

Po miesiącu spędzonym w ulewie, dla Kromagnonów stało się jasne, że synowie już nie wrócą, że pewnie wstąpili do kawalerii Quopotów, co obiecywało konne gwałty i awans na podpułkownika po dwóch minutach służby. Kromagnonowie byli nieco zziębnięci, bo po owej awanturze wyszli na dwór w piżamach i koszulach ciężowych. Nie czuli się zbyt dobrze; Szepcza miała grypę, żółtaczkę i febrę, Czepcowi odpadły rozmoczone palce u nóg i zaczął słyszeć głosy, Wykuca utonęła, gdy dryfujący słup telegraficzny złamał jej nogi w kolanach i porwał ze sobą. Rozkwitaniu woda też nie pozwoliła rozkwitnąć: teraz wyglądała jak ten pomarszczony, różowy pies bez sierści, wiecie. Zamiast mówić, rzeziła i pluła kawałkami płuc, co było trochę nietaktowne.

Natomiast drwal Obanon czuł się kiepsko: skóra zeszała mu zupełnie od pasa w dół, a także z pleców, rąk i głowy, przy czym włosy, kędzierzawe i nieco irokeskie, pozostały na pozycji – a że wystawały teraz z krwawej masy, nie zachęcał taki widok do pieszczoł. Jeśli dodam, że węgorz wpłynął mu przez usta i zaczął się panoszyć we wnętrzu jak wahadłowiec porzucony przez załogę, to nie można się dziwić, że...

- Nie chciała go pocałować? – wyrwie się jakiś konopijski Filip.

Gorzej. Właśnie zaczęła gonić go z rybio prutkującymi ustami, co Obanona w ogóle nie zachęcało, bo miał popsuty nastrój tak samo jak urodę. A jeśli chodzi o to, co działa na kobiety, cóż, tu nie ma złotej reguły, nie zawsze jest to zapach ogórka, kształt bakłażana czy woń zbroi zdjętej z ciała rycerza po sześciogodzinnym boju w upale sudańskim.

Czasem jest to węgorz, narzędzie nieokiełznane.

- To wstrętne, bajarzu!

Życie na prerii, moi drodzy. Nie takie rzeczy przypadły osadnikom, hartując ich serca i szyszynki.

W każdym razie ostatki rodziny kromagnońskiej z ulgą, a wręcz euforią, wpadły do twarogowych wnętrz. Zapanował klimat urodzinowego pikniku. Zaparzone herbatę w czaszce jeża, nakrojono szynki w plastry (z jeża, owszem), a Szepcza zaofiarowała się nawet, że pójdzie do piwnicy po smalec, ale powiedziano jej, żeby nie robiła z siebie durnia.

Gdy usiedli przy stole, panowała już wzruszająca atmosfera Wigilii, którą z przyczyn etnicznych Kromagnonowie obchodzili co sześćdziesiąt lat. Podzielono opłatek, który z kolei z przyczyn ekonomicznych zastąpili tabliczkami sumeryjskimi, wykopanymi na polu rzepakowym.

Nastrój zakłócił tylko płacz Czepca: że go „bolą palce”.

Za kłamstwo dostał policzek. Odebrano mu też tabliczkę, w której zdążył już zostawić jedenaście zębów.

„Nasza rodzina nigdy się nie podda” – powiedział uroczyście biały drwal Obanon, człowiek rostry, ślepy i charyzmatyczny. – „Najważniejsi zostali” – próbował żartować.

Niestety, w chwili, gdy wznosił toast, zdarzyło się nieszczęście. Jak to mówią, gdy szczęście trwa zbyt długo, to jakiś mały niefart musi się przydarzyć, Yin, Yang, trawler z Darłowa nie może bez końca pływać w prawobrzeżnym przechyle.

Otóż w chwili, gdy drwal toast wznosił, węgorz wychylił mu głowę przez usta, po czym znów się schował, naprawdę szybko. Prawdopodobnie zanurkował w dół brzucha, taki to był kawalarz. Pech chciał, że Rozkwitania, powodowana panicznym impulsem, uderzyła w łeb ryby czekanem porwanym ze ściany.

Szkoda, że się spóźniła. Węgorz wszak zanurkował, a czekan wbił się w twarz drwala tak głęboko, że wystawił on język z drugiej strony głowy, co zdeprymowało Szepczę, która nadchodziła z moczka śląską w czarkach.

„Już dobrze” – wybełkotał Obanon, ale nikogo nie przekonał, nawet siebie. I poszły dalsze ciosy czekanowe.

Oczywiście Rozkwitania nie chciała skrzywdzić męża, pragnęła tylko dopaść węgorza, bo słusznie podejrzewała to małe monstrum o chęć złożenia 60 milionów jajeczek pod osłoną splotu słonecznego. By nie narazić ukochanego na niebezpieczeństwo urazu, uderzała tylko w krtań, płuca i brzuch.

Niestety, Obanon, o dziwo, po chwili zmarł.

Prawdopodobnie miał wrodzoną alergię na mosiądz – a czekan był właśnie mosiężny.

A może nie dojrzał po prostu do założenia rodziny i stawiania czoła i krtani wyzwaniom prerii.

Dureń, psiakrew, no do cholery!!...

No żeby taką kobietę zostawić?!...

- Spokojnie, bajarzu! To tylko opowieść, bajka spod Gorców, mit babiloński, podanie Assiniboinów...

Nie.

NIE.

To prawda i raport. Dlatego zaciągnę się, by myśl uspokoić i dopowiedzieć finał...

Ale wybaczcie impulsywność, już kontynuuję, choć uraził mnie ten Babilon.

Tak, Obanon umarł. Uciekł, szczeł, jak to tam nazywać, w każdym razie porzucił rodzinę w samym środku prerii

terroryzowanej przez Quopotów i kondory.

Teraz zrobiło się już trochę dziwnie. W rodzinie Kromagnonów zawsze panowała duża rotacja - dzieci przychodziły i odchodziły... Ale ojciec, drwal Obanon, był niezmiennie trwały.

Teraz zostało po nim martwe, rozmoczone mięso, ciągle plądrowane przez wężorza.

I kto został?

- Wysupł...

Spałeś, niesłuchaczu.

- Pajac Duszek...

Brawo. Bardzo znacząca figura.

- Ewangelin?

Ewidentyn. Ślepy strzał, powiesili go. No dobrze, podpowiem. Zostali Szepcza i Czepiec, no i szlachetna matka Rozkwitania, kobieta o ciele Valerii i duszy Aaricii, zahartowana córka prerii. By zdjęć z domu klątwę, rozwiesiła tysiąc amuletów pod sufitem, ale i na wszelki wypadek wyprowadziła siebie i swoje dzieci do piwnicy, gdzie wybiła kondory iperytem... no i czeka.

- Czekasz?

Tak. Nie domyślacie się?

- Nie...

To ja jestem Rozkwitanią, córką prerii. Palę fajkę z kości Boszona i mam urodę wypatroszonego larwami i słońcem ichtiozaura... Ale kobiecość we mnie kipi. Chcę wybrać męża spośród was.

- ...

Niech to będzie ochotnik, bo...

- ...

- Nie trzeba się martwić, dzieci już uzupełnione. Herszt zbójceki i kawaleria Quopotów pomogli. I mam: jednoletniego Szwacza, dwuletnią Wywargę, trzyletniego Wystudza, czteroletnią Szepczę, pięcioletniego Uryńca, sześćioletnią Zapadnię, siedmioletniego Gestapa, ośmioletnią Stężycę... i trzystuletniego Paprocia, wykradzionego z dziupli druidów.

I małe coś jakieś - Półszpryclem zwane - wybite młotkiem z jaja kondorzego.

Kto się pisze? Kto stanie u boku mego, by zmierzyć się z klątwą domu z twarogu, by pogrozić pięścią prerii?

Nie musicie odpowiadać, sama wybiorę. Jestem Rozkwitania, córka prerii.

Uzbrojona w alergenne narzędzie oświadczyń. Uszczęśliwię was wszystkich.

Po kolei!

Autor: hussair

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl